

ADRIAN KSYCKI



Przysięga
Pieciu

Przysięga Pięciu

Dla żony, cierpliwego słuchacza
rodzących się w mojej głowie pomysłów

ADRIAN KSYCKI

Przysięga Pięciu


Sorus

Poznań 2020

[Kup książkę](#)

Redaktor prowadzący
Wojciech Nowakowski

Korekta
Wojciech Nowakowski

Projekt okładki
Marcin Dolata

Skład
Dominik Szmajda

Copyright © by Adrian Ksycki 2020

Printed in Poland

Wydanie I

ISBN 978-83-66664-01-2

Przygotowanie, druk i dystrybucja

Wydawnictwo Sorus

ul. Bóźnicza 15/6

61-751 Poznań

tel. (61) 653 01 43

sorus@sorus.pl

księgarnia internetowa

www.sorus.pl

DM Sorus Sp. z o.o.

*Wszelako przyjdzie dzień, gdy scalimy naszą rozproszoną wiedzę,
a wtedy zarówno rzeczywistość, jak i nasze w niej miejsce ukażą
się z tak zatrważającej perspektywy, że przyjdzie nam albo osza-
leć, albo uciec przed śmiertelnościami światła tego objawienia
w kojące i bezpieczne mroki nowego średniowiecza.*

Howard Phillips Lovecraft

Prolog

Mężczyzna upadł na ziemię.
Na tle czarnego nieboskłonu niemal nie dostrzegł chudej sylwetki, która pochylała się nad nim.

– *Wo ist es?* – wyszeptał głos po niemiecku.

Pośrodku lasu, z dala od innych, wiedział, co go czeka.

– Nigdy jej nie dostaniecie!

Postać przycisnęła ostry przedmiot do jego brzucha i mocnym pchnięciem zanurzyła go w ciało.

Mężczyznę przeszył punktowy, niemiłosierny ból.

– Wolę umrzeć!

– *Der Tod ist nicht das Ende*, Artur – odpowiedziała postać i zaczęła przesuwac ostrze wzdłuż jego wnętrzości.

Mężczyzna starał zachować świadomość tak długo, jak mógł, póki nie ogarnęła go ciemność. Nie zdołał uratować swojej rodziny, ale udało się przekazać klucz do tajemnicy.

Teraz los spoczywał na barkach jednego człowieka.

Chwilę później, wraz z ostatnim oddechem, wszystkie myśli odpłynęły w bezkres nocnego nieba.

Nie było nic.

Rozdział 1

List

Koperta była biała, welinowa. Rogi pobrudziły się, gdy ktoś bezszelестnie wsunął ją pod drzwi.

Henryk Kuliński znajdował się w gabinecie wuja, przeglądając niezliczone ilości tomów, które traktowały o medycynie. Pochłoniął go szczególnie jeden o pradawnej umiejętności diagnozowania zdrowia na podstawie pulsu przez tybetańskich lekarzy. Ta z pozoru magiczna sztuczka była precyzyjnym sposobem określenia chorób. Lekarz poświęcał pacjentowi całą swoją uwagę i służył wiedzą medyczną, korzystając przy tym z umiejętności medytacji.

Tybetańska medycyna była zbyt egzotyczna jak na jego europejski umysł, jednakże nie mógł nie zgodzić się z tym, co właśnie wyczytał w manuskryptach wuja. Diagnozowanie za pomocą pulsu, sposoby odblokowania energii, wykorzystywanie określonych roślin w odpowiednich dawkach, czy medytacja – wszystko, co traktowano jako szarlatanerię, medycyna Wschodu wykorzystywała jako normalne leczenie.

Dręczony tymi myślami, uniósł wzrok i dostrzegł kopertę.

Skąd się tu wzięła?

Kuliński otworzył drzwi. Nie było nikogo. Gdzieś niedaleko dochodziło gardłowe krakanie kruków na tle ołowianego nieba. Zimny powiew październikowego wiatru przyprawił go o gęsią skórę i czym prędzej wrócił do środka.

Koperta była niezaadresowana. Podniósł ją. Palcami wyczuł chropowatą powierzchnię i wilgoć po wczorajszym deszczu. Musiała

tu przeleżeć całą noc, gdy on znajdował się po drugiej stronie posiadłości. Ale kto ją przyniósł?

Wziął lancet i precyzyjną linią prostą otworzył kopertę.

Pierwszy w dłonie wyleciał mały kluczyk. Mosiężny przedmiot zakończony był ozdobnym krzyżykiem w kształcie lilii, a samą długością przypominał ważkę. Nie nosił śladów użycia. Był zimny jak te ostatnie październikowe popołudnie.

Żeberkowa kartka złożona wpół zawierała ręcznie napisany list. Kuliński przyjrzał się pisowni bez wczytywania się w słowa. Zwrócił uwagę na ekskluzywny papier i styl pisma rodem kogoś z wyższych sfer. Estetyczne litery bez zbędnych nachyleń o przeciętnej wielkości – według twierdzeń grafologów – świadczyły o kontrolowaniu emocji i podążaniu za logiką. Słowa były napisane zdecydowanie pod silnym naciskiem dłoni, co najprawdopodobniej wskazywało na presję czasu.

Zaczął czytać.

Szanowny Panie Kuliński,

Wieść o śmierci Pana wuja zalała moje serce smutkiem. Był człowiekiem dobrym i bardzo odważnym w tych nietypowych czasach.

Prosił, bym wyznał prawdę, ale nie mam zamiaru sprowadzać niebezpieczeństwa, które nade mną wisi. W kopercie jest klucz. Otwiera coś, co Ryszard ukrył wyłącznie dla Pana. Proszę niezwłocznie go użyć.

Jest Pan ostatnią nadzieją Przysięgi Pięciu.

AAHP,

Artur Szendzielarz

Poczuł, jak przeszły go dreszcze. Tym razem jednak nie od chłodu.

Co to jest?

Był przekonany, że to wszystko jakaś pomyłka, lecz na końcu listu widniał skrót, który potwierdzał znajomość autora listu ze zmarłym

wujem. AAHP. Ryszard Kuliński zawsze kończył w ten sposób listy do kolegów po fachu. Czyżby autorem był jakiś dawny kolega z pracy? Jeśli tak, to wuj nigdy o nim nie wspominał.

Apollinowi, Asklepiosowi, Hygei i Panakei – rozwinięciem skrótu był boski kwartet, na który klęli się przyszli lekarze, składając przysięgę Hipokratesa. Skoro Szendzielarz użył takiego skrótu w tym właśnie porządku, to z pewnością chciał potwierdzić wiarygodność.

Papier nie pachniał żadnymi perfumami. Wręcz przeciwnie, można było wyczuć nieprzyjemny zapach drewna – zbutwiałego i przeżartego przez korniki.

Dziwne, pomyślał. Elegancki styl pisma i przykry zapach nie pasowały do siebie.

Nagle drzwi do gabinetu otworzyły się, a w progu zmaterializował się niski korpulentny mężczyzna ubrany w czarną kamizelkę, na której przyczepiony był zegarek z łańcuszkiem.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale ma pan gościa. – Jego głos był zdarty i niski.

– Właśnie pochowałem wuja, Alojzy, i nie mam ochoty na odwiedziny. Odpraw go.

Na te słowa jego czoło pokryły fałdy, a aureola ostatnich siwych włosów wystających z boku zdawała się płonąć na czerwono.

– To nieuprzejme odprawiać takiego gościa – oznajmił.

– Dziś odprawiłbym samego papieża.

Alojzy milczał przez chwilę.

– W każdym razie, powiedziałem mu, że jest pan w domu i zaraz go przyjmie – rzucił chłodno i odszedł.

Kuliński rozumiał jego szorstkie maniery. Mury dworku wyssały jakoś z Alojzego ostatki ckliwości. Jako lokaj spędził z wujem ostatnie sześć lat i trwał przy nim do samej śmierci. Nic dziwnego, że stał się jak te ściany – ponury i zimny.

Kuliński opuścił gabinet i przeszedłszy korytarzem do salonu, otworzył drzwi.

Przed nim stał mężczyzna w mundurze wojskowym zakończonym

rogatywką z orzelkiem. Pod nią migotało dwoje niewielkich oczu, a większość twarzy zakrywał sumiasty wąs.

– Doktor Kuliński?

– Tak. Henryk Kuliński. A o co chodzi?

– Sierżant Piotr Wilk. Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego – mówił szybko. – Mój kapitan prosi was o pilny przyjazd. Potrzebujemy kogoś o waszych umiejętnościach.

– Teraz?

– Jak najszybciej.

– Ale w jakiej sprawie?

– W sprawie morderstwa.

Rozdział 2

Wszebora

Stara chata pośrodku lasu nie wyglądała przyjaźnie. Dach, który był kupą strzechy, przygniatał niskie mury. Prowadziła tu jedna wąską dróżka, a jedynie dym z krzywego komina i mdły płomień świec zdradzały jakąkolwiek obecność w późne popołudnie.

Gęste, wysokie drzewa splatały się jak palce u ręki i nie przepuszczały większej ilości światła. Szeptunka Zosia Kaliska szła w półmroku. Była zmarznięta i dziwnie niespokojna, krocząc w stronę chaty. Znała kobietę, która zamieszkiwała to miejsce i o której krążyły mrozące krew w żyłach historie. Wszebora, najbliższa przyjaciółka babci.

Na płocie zauważyła znak namalowany czerwoną farbą: litera M z zawiniętym ogonem zakończonym żądłem. Znak ten, z lekką nutką drapieżności, rodził skojarzenia ze zwiniętym wężem, lecz symbolizował zupełnie coś innego.

Skorpion.

Zbliżyła się do fasady. Między prawym narożnikiem a drzwiami znajdowało się niewielkie okno. Nie miała pewności, czy było to przywidzenie, czy zauważyła w środku cień osoby. Podeszła więc do drzwi i zapukała.

Po chwili odezwał się stłumiony kobiecy głos.

- Kogo lichy niesie o tej porze?
- Zosia, wnuczka Sybilli – powiedziała drżącym z zimna głosem.
- Potrzebuję twojej pomocy.

Cisza.

- I ją otrzymasz, ale muszę wiedzieć, że jesteś tą, za którą się

podajesz – odpowiedział głos. – Zadam tobie trzy zagadki. Jeśli jesteś godna przestąpienia mego progu, rozwiążesz je wszystkie.

Wszebora nigdy nie otwierała drzwi od razu. Lubiła trzymać wędrowców w niepewności. Gdy nie zadawała zagadek, kazała im czekać tak długo, dopóki sami stracą cierpliwość i odejdą lub będą tak zdesperowani, by pokonać niedogodności i dostąpić zaszczytu. Kiedy człowiek był już na skraju wyczekiwania i wiedział, że zaraz opuszczą go wszystkie siły, wtedy otwierała drzwi. Nie wcześniej, nie później. Jakby miała zdolność do patrzenia w ludzkie serca.

– Pierwsza zagadka – obwieścił głos Wszebory. – Jestem czarnym dzieckiem, które pochodzi od jasnego ojca, ptakiem bez skrzydeł, a jednak frunę do nieba. Kiedy mnie spotkasz, zapłaczesz, lecz nie smutkiem, a ku niebu się zbliżając, znikam zaraz po narodzinach. Czym jestem?

Zosia wychowała się na zagadkach. Jako szeptunka, dorastała w świecie tego, co znane i nieznanne, co widoczne i ukryte dla nieopierzonego oka. Pod dachem niewielkiej chaty, w której mieszkała tylko z babcią, dzieliła samotność ze swoimi siostrami – tajemnicami.

Sybilla wyćwiczyła ją w łamigłówkach od najmłodszych lat. Wiedziała, że takie zagadki kierowały uwagę na podobieństwo dwóch odrębnych rzeczy: czarne dziecko – jasny ojciec, ptak bez skrzydeł – frunąc i płakać – nie ze smutku. Zagadka miała zmylić ją w prosty sposób, zaczynając od tego, co można zrozumieć dwojako, i kończąc na tym, co było jednoznaczne.

Zamknęła oczy i pozwoliła umysłowi wydobyć obraz zagadki.

– Dymem – powiedziała po chwili. – Jestem dymem.

– Świetna odpowiedź. Teraz czas na drugie pytanie. Jaskółka czy gołąb?

Zosia uśmiechnęła się.

– Jaskółka.

To było proste. Sybilla i Wszebora dość często pisały do siebie listy. Z racji podeszłego wieku nie mogły już pozwolić sobie na tak

dalekie odwiedziny. Wykorzystywały do tego niecodziennego pomocnika – jaskółkę. Ten ptak odznaczał się śmigłym lotem i dzięki temu był nieosiągalny dla drapieżników. Wyszkolony przez Wszeborę, dostarczał listy szybciej niż jakikolwiek listonosz.

– Dobrze. Jesteś coraz bliżej.

Oby, pomyślała Zosia. Jej ciało trzęsło się z zimna, a ona sama marzyła, aby znaleźć się obok czegoś ciepłego. I to szybko.

– Podaj mi mieszankę „febris”.

Szeptunka skupiła się chwilę, przeczesując wszystkie zakamarki pamięci.

– Rumianek, owoc maliny... topola, liść brzozy, kwiat lipy, tawuła łąkowa...

Zawahała się.

Szeptunki były ludowymi uzdrowicielkami. Korzystając głównie z ziół i modlitw, były mistrzyniami w dobieraniu odpowiednich mieszanek do chorób. Było ich mnóstwo. Aby lepiej zapamiętać ich skład, Sybilla nauczyła Zosię prostego zabiegu pamięciowego. *Febris* z łaciny oznaczało gorączkę. W tej mieszance znajdowało się siedem różnych roślin. I w ten sposób zapamiętała ją jako *febris septem*.

– I kora wierzby – wykrztusiła w końcu Zosia.

– W rzeczy samej – w głosie Wszebory było słychać podziw. – Jesteś tą, za którą się podajesz.

Zamek zgrzytnął i w progu stanęła niewysoka postać starszej kobiety o surowym wyglądzie. Na widok Zosi jej rysy złagodniały i zza marsowej fasady częściowo wyłoniła się osoba, którą dobrze zapamiętała.

– Babcia Sybilla umarła – powiedziała Zosia.

– Wiem – odparła Wszebora. – Dawno nie widziałam mojej jaskółki.

Kapitan Oksymiljanowicz

Robiło się ciemno. Czarny mercedes-benz z 1938 roku przecinał las niczym pocisk. Wyboiste dróżki wyginały się raz w lewo, a raz w prawo. Silnik pracował na najwyższych obrotach. Sierżant Wilk nie miał zamiaru mu popuścić.

Z oddali widać było chaty rozrzucone po polanach niczym klocki. Z wielu wychodził dym.

Kuliński ścisnął torbę lekarską, którą zdążył pochwycić z gabinetu wuja.

Sierżant to zauważył.

– Czy szybka jazda jest dla was problemem, doktorze?

– Raczej nie – odparł Kuliński. – Ale staram się tego unikać.

– Spokojnie, ze mną nic wam się nie stanie. Jednak mój kapitan twierdzi, że aby złapać sprawców morderstwa, liczy się każda minuta. Dlatego też cieszy się, że jeszcze nie zdążyliście wrócić z powrotem do Szwajcarii.

– Skąd pan wiedział, że będę na miejscu?

– Sami żeście nas poinformowali, kiedy na granicy podaliście cel, miejsce i czas pobytu.

– Śledziliście mnie?

Wargi sierżanta wygięły się w uśmiechu.

– Każdy, kto przekracza granicę Polski, jest pod naszą opieką, doktorze. Kwestia bezpieczeństwa wewnętrznego. Mimo że wojna się skończyła, to w kraju nie jest do końca bezpiecznie. Wielu złoczyńców jest na wolności, napadając i rabując niewinnych obywateli.

– I zajmujecie się również morderstwami?

Sierżant Wilk potwierdził.

– A policja?

– Milicja Obywatelska – poprawił go. – To zbieranina żołnierzy, partyzantów i aktywistów politycznych. Nie są przeszkoleni do takich rzeczy. Póki co, to Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego odpowiada za porządek w kraju i reaguje na każde przestępstwo. Ale jeśli to was uspokoi, nasz kapitan był przed wojną policjantem.

– Skoro jesteście tak dobrze zorganizowani, to z pewnością posiadacie w swoich szeregach jakichś lekarzy.

– Tylko medyków. Są przeszkoleni w ratowaniu życia żołnierzy na polu walki, ale nie można na nich polegać w przypadku morderstwa. Wojna zabrała wielu dobrych lekarzy – odetchnął ciężko.

– I tak naprawdę w okolicy tylko wy znacie się na medycynie.

– A w czym dokładnie mam wam pomóc?

Mercedes skręcił ostro w prawo i znalazł się na węższej, choć prostszej drodze.

– Nie jesteśmy pewni kilku okoliczności, w których nastąpił zgon.

– Znaczą się – nie wiecie, jak zginął zamordowany – zaproponował Kuliński.

– Zamordowani, doktorze, to dwoje ludzi.

– Czy może pan mi więcej powiedzieć?

Sierżant Wilk odmówił.

– I tak powiedziałem za dużo. Kapitan zakazał mi zdradzać cokolwiek, co wiąże się z tą zbrodnią. Kwestia bezpieczeństwa sprawy.

Jednak Kuliński nie był co do tego przekonany.

Przez resztę drogi sierżant nie odezwał się ani słowem, a doktor pilnował, by nie zakłócić tej ciszy. W pewnym momencie zrobiło mu się słabo. Uchylił okno i poczuł zimne powiewy wiatru muskające jego nozdrza zapachem świerków.

Październikowa szaruga ciemniała z każdym kilometrem. Na

koronach drzew osiadła gęsta mleczna mgła i okryła płaszczem wszystko, co można było zobaczyć zza szyb pojazdu.

Kilka chwil później, Kuliński ujrzał przed sobą punktowe światła.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Wilk.

Gdy auto zbliżyło się do światła, ukazały się kształty dwóch wojskowych ciężarówek stojących obok siebie w niewielkiej odległości.

Sierżant zgasił silnik i opuścił pojazd.

– Poczekaście tutaj – polecił i zniknął za ciężarówką.

Gdy Kuliński wysiadł i uświadomił sobie, gdzie się znalazł, poczuł dziwne uczucie w okolicy brzucha, jakby w jego wnętrzu wił się wąż.

Żołnierze z zawieszonymi pepeszami rozstawieni byli w linii w odległości dziesięciu metrów przed gęsto porośniętymi drzewami. Nie można było sobie tak po prostu wejść. Dwóch z nich studiowało mapę, podczas gdy trzeci kucał przy radiostacji i przekazywał coś przez słuchawkę. Gdzieś w oddali widać było skaczące światełka latarek, przypominające świetliki, i towarzyszące temu odgłosy szczekania psów.

To, co się tu wydarzyło, KBW traktowało bardzo poważnie. Co ja tutaj robię?

Kuliński spojrzał na mercedesa i zapragnął znaleźć się z powrotem we dworku wuja.

Może odjadę? – pomyślał.

– Doktorze? – dobiegł do niego głos zza pleców.

Odwrócił się i ujrzał postawnego żołnierza, zmierzającego w jego stronę.

– Kapitan Leon Oksymiljanowicz – przywitał się.

Jego uścisk był twardy tak samo jak jego oblicze. Twarz ochraniał zarost – killudniowy i połączony z bokobrodami. Był łysy, co uwydatniało wystający grecki nos. Groźny wzrok pod krzaczastymi brwiami zastępnął na oczach doktora.

– Dowodzę tutaj – rzekł ochrypłym głosem, który współgrał

z sylwetką i przypominał nadciągającą lawinę. – I przepraszam, że muszę zmącić wasz spokój.

– Już został zmącony, tak że...

– Proszę za mną – polecił Oksymiljanowicz, jak gdyby w ogóle nie przejął się jego słowami.

Kuliński ruszył za nim.

– W czym się specjalizujecie?

– W chirurgii.

Odpowiedź Kulińskiego sprowadziła uśmiech na wargi kapitana.

– Jak mogę wam pomóc?

– Na razie nic nie mogę powiedzieć. Ale muszę upewnić się, że macie silny żołądek.

– Tak. Wiele czasu spędziłem w prosektorium podczas studiów i takie widoki nie robią na mnie raczej wrażenia.

– To nie prosektorium, doktorze. – Kapitan zmarszczył brwi, a jego oczy zaiskrzyły ogniem rozdrażnionego tygrysa. – Takiego czegoś jeszcze nie widzieliście.

Miejsce zbrodni

Kuliński nie wiedział, dokąd idą.

Mgła była nieco niżej. Powoli, lecz nieuchronnie zbliżała się do ziemi, jak gdyby chciała nad nią zapanować.

Kapitan Oksymiljanowicz zdawał się nie zwracać na to uwagi. Szedł władczo, pewnie stawiając kolejne kroki wśród niewyraźnie widocznego leśnego runa. Jego mundur opinał mięśnie i uwydatniał dobrze zbudowaną sylwetkę mimo przekroczonej pięćdziesiątki.

Oddaliwszy się od patrolujących żołnierzy, weszli w głąbiny drzew sosnowych. Kapitan szedł tak szybko, że doktor z ledwością za nim nadążał.

– Pana sierżant wspomniał, że był pan policjantem – rzekł Kuliński, chcąc tym zatrzymać kapitana.

– Tak, to prawda – odparł Oksymiljanowicz. – Przed wojną.

– I widział już pan coś takiego?

Kapitan stanął jak wryty.

– Coś takiego? – zapytał ponownie, jakby nie dosłyszał pytania.

– Wierzycie w Boga, doktorze?

– Wyrosłem w chrześcijaństwie.

– Jako policjant wiem, że to, co człowiek potrafi wyrządzić drugiej osobie, wychodzi daleko poza dekalog. Swego czasu łapałem różnych złodziejasków i przemytników. Wsadzałem za kraty ojców maltretujących swoje dzieci i kipiących odrazą morderców, których nie chcielibyście spotkać w ciemnej uliczce, doktorze. – Jego oczy płonęły teraz na bordowo. – Ale nie, nie widziałem jeszcze czegoś takiego.

Ruszył ponownie przed siebie.

Odpowiedź kapitana przypawiła Kulińskiego o ciarki.

– Dlatego was wezwałem – ciągnął dalej. – Jestem przekonany, że szwajcarskie uczelnie zapewniły wam najwyższy poziom edukacji i jesteście ekspertem w swojej dziedzinie.

Kuliński kiwnął głową, aby potwierdzić jego słowa. W głębi ducha jednak nie był tego taki pewien. Nie wiedział, czego się od niego oczekuje. Zdawkowe informacje o morderstwie dwóch osób pośrodku leśnej puszczy nie wróżyły niczego dobrego. Domyślał się, że będzie szukać powodów śmierci lub analizować stan rozkładu ciała.

W trakcie studiów brał udział w wykładach o ekspertach medycznych, którzy towarzyszyli policji na miejscu przestępstwa i przeprowadzali dla nich sekcję zwłok, co miało pomóc mundurowym w głębszym poznaniu mordercy. Chociaż korzenie takich badań sięgały czasów Mojżesza i Hammurabiego, to w dwudziestym wieku praktyka oględzin zwłok dopiero raczkowała.

– Gdybym wiedział coś więcej, byłbym bardziej przydatny – zapewnił.

– Gdybym wam powiedział więcej o okolicznościach morderstwa, moglibyście snuć już hipotezy. A tego nie chcę. Lepiej budować teorie na faktach niż odwrotnie.

W tym momencie skończył się gęsty las i obaj znaleźli się na polanie. Mgła wisiała lekko nad ziemią. Trudno było cokolwiek dostrzec dalej niż dziesięć metrów. Drzewa, które otaczały polanę, straciły swoje kształty. Z płaszcza mgły widać było jedynie ich ciemniejszy zarys. Nie było słychać odgłosów ptaków. Wszechobecna cisza krzyczała złowrogą atmosferą tej samotni.

Kuliński przeszedł kilka metrów za kapitanem.

Nagle ujrzał niewyraźny kształt chaty. A chwilę później dwóch żołnierzy, którzy jej pilnowali. Jednego z nich poznał od razu – sierżant Wilk z charakterystycznym sumiastym wąsem.

– Oto miejsce zbrodni – oznajmił Oksymiljanowicz.

– Kto by chciał tu mieszkać? – zapytał Kuliński.

– Na pewno nikt, kto ma czyste sumienie – odparł i podszedł do sierżanta Wilka.

Kuliński spojrział na chatę, która była niczym innym jak krzywym prostopadłościanem. Ze zbitej z desek ściany patrzyły na niego dwa prostokątne okna, za którymi chowała się niewytłumaczalna, odpychająca czern. Dach, pokryty strzępkami trzciny i porastającym mchem, był dziurawy jak okręt po bitwie, a wystający ceglany komin przypominał zniszczony maszt.

Co dziwniejsze, nie prowadziła tutaj żadna dróżka, żadna wydeptana ścieżka.

– Co myślicie o tym miejscu? – zapytał Oksymiljanowicz.

– Ktoś, kto tu mieszkał, z pewnością nie chciał być znaleziony. Może chciał się przyczaić na pewien czas, ale nie miał zamiaru spędzić tu reszty życia. Może był to jakiś partyzant? – zaproponował Kuliński.

– Wszyscy partyzanci Armii Krajowej ujawnili się po wojnie. Jesteśmy wolnym narodem i nikt o zdrowych zmysłach nie musi ukrywać się w lasach.

– Chyba że ma się coś na sumieniu.

– Dokładnie, doktorze – przyznał kapitan. – Tu mieszkał bandyta.

– Ale mówiliście o co najmniej dwóch trupach.

Oksymiljanowicz potwierdził jego słowa.

– Mieszkał tu wraz z synem. – Przeszedł kilka kroków w stronę fasady chaty. – Proszę za mną. Zobaczycie ich ciała.

Kulińskiego przeszedł dreszcz. Zrobił kilka kroków po błotnistej ziemi i znalazł się przy kapitanie.

Patrzyli teraz na nienaturalne wybrzuszenia okryte wojskowym materiałem.

– Odkryjcie ich – rozkazał Wilkowi.

Sierżant z pomocą drugiego żołnierza zdjęli przykrycie.

Gdy Kuliński uświadomił sobie, na co patrzył, jego żołądek znalazł się w gardle. Miał wrażenie, że zwróci zaraz całą jego zawartość. Zakrył twarz ręką, aby do tego nie dopuścić.

– Jezus Maria!

Rozdział 5

Przepowiednia

Surowe wnętrze tonęło w półmroku. Z sufitu zwisały pęczki suszonych ziół, a na ścianach można było znaleźć pojemniki z przeróżnymi mieszankami; wszystko wypełniało chatę takim samym zapachem, w jakim dorastała.

Zosia siedziała przy piecyku, ogrzewając się w jego ciepłe. Pomyślała, że babcia czułaby się tutaj fantastycznie.

– Wypij coś gorącego – zaproponowała Wszebora, podając jej gorącą mieszankę. – Jesteś zziębnięta.

Zosia wzięła kilka łyków.

– Jak zmarła Sybilla?

– W swoim łóżku. Mówiła, że przyszedł na nią czas i jest gotowa. Wszebora pokiwała głową.

– Każdy z nas modli się o taki koniec.

– Babcia powiedziała mi coś – Zosia uniosła wzrok. – Coś, czego nie rozumiem. Dlatego przyszedłam do ciebie.

Ciszę, która na chwilę zapanowała, przecinały trzaski palących się polan.

– Żeby nie zapomnieć, zapisałam to na kartce – dziewczyna wyjęła kawałek papieru z kieszeni kurtki i podała kobiecie.

Wszebora otworzyła kartkę i zaczęła czytać na głos:

„Mojry złączą cię z mężczyzną spod znaku węża. Wtedy poznasz wszystkie moje tajemnice. Ci, co zasnęli, budzą się, a największą ofiarą będzie krew. Podążaj za skorpionem i strzeż się Arhata, gdyż wraz z nim umrzesz”.

– Nie mogę tego do końca zrozumieć. Wiem jedynie, że Sybilla ostrzega mnie przed śmiercią.

– Czy to wszystko? – zapytała Wszebora.

– Nic więcej. Babcia leżała w łóżku i w pewnej chwili dostała jakiegoś ataku. Jakby nie mogła zaczerpnąć oddechu. Zbliżyłam się do niej, a ona, chwyciwszy moją dłoń, wypowiedziała te słowa. Kiedy skończyła, jej wzrok utkwiał w jednym punkcie, a oddech ustał.

Na jej słowa Wszebora zmarszczyła brwi i wstając z krzesła, powtarzała cicho pod nosem: Arhat, Arhat, Arhat...

– Muszę coś sprawdzić, dziecko – rzekła i znikła gdzieś w następnym pokoju, zostawiając Zosię w kuchni.

„Mojry złączą cię z mężczyzną spod znaku węża. Wtedy poznasz wszystkie moje tajemnice”.

Podobnie jak inne szeptunki, babcia Sybilla była dobrą, lecz skrytą osobą. Niepozorna starsza kobieta owinięta chustą w ludowe wzory, trzymająca w glinianych garnkach przeróżne rośliny i zioła, za pomocą których leczyła innych. Poświęciła swoje życie na pomoc drugiemu człowiekowi, nie żądając nic w zamian. Jakie więc sekrety mogła skrywać? O czym miała dowiedzieć się jej jedyna wnuczka, która spędzała z nią cały czas?

Wzrok Zosi utkwiał w jednej z drewnianych belek podtrzymujących konstrukcję chaty. Wryty skorpion. W tym momencie poczuła dobrze znane emocje, które zaczęły przenosić ją w czasie do dnia, gdy ona sama stała się szeptunką.

Rozdział 6

Badanie

Nie był przygotowany na coś takiego.

W prosektoriach zwłoki są przynajmniej czyste i schłodzone. Obok stołów leży specjalistyczny sprzęt, a cudowna maść nakładana pod nos zwalcza trupi fetor.

Kuliński znalazł się daleko od jakiegokolwiek prosektorium i nie posiadał żadnego specjalistycznego sprzętu prócz gumowych rękawiczek.

Położył torbę lekarską przy nodze, naciągnął je na dłonie i pochylił się nad zwłokami.

Dwa ciała leżały obok siebie. Pierwszy z nich był młodym mężczyzną z wyglądem człowieka sprawnego fizycznie, o silnych rękach i dobrze zarysowanych barkach. Był nagi. Kuliński patrzył na martwe ciało, któremu zabrano nie tylko życie, ale i godność. Jego lewa noga podwinięta była za prawym kolanem i niemal dotykała lewej ręki, która leżała wyprostowana w stronę ojca.

– Dziwne – rzekł Kuliński. – Nienaturalne ułożenie kończyn.

Jego śnieżnobiałą twarz pokrywały strugi krwi, których źródłem była rana cięta gardła. Nie spłynęły jednak w dół, jak nakazywałaby newtonowska grawitacja. Jej zastygłe strumienie pociekły wzdłuż policzków, zatrzymały się w żłobieniu gałek ocznych, po czym w końcu popłynęły po czole, znikając w burzy gęstych ciemnych włosów. Oblicze chłopaka przypominało wymalowanego Indianina jako symbol odświętnego stroju na specjalną okazję.

Tutaj nie było o tym mowy. Oczy chłopaka były otwarte i spoglądały w głąb mlecznej mgły. Patrzyły żywym spojrzeniem, jakby szukały tam przyczyn tego, co się tu wydarzyło.

Kuliński powędrował wzrokiem na szyję.

Linia cięta była na tyle szeroka i nierówna, że można było stwierdzić, iż do poderżnięcia gardła użyto niestandardowego noża. To znaczyło, że długo po tym był świadom, co takiego z nim zrobiono.

– Z tego biedaka spuszczo krew. Oznacza to, że morderców było więcej. Dwóch, może trzech.

Oksymiljanowicz kiwnął głową w milczeniu. Włożył papierosa między wargi i trzasnął zapalką.

– Co do tego nie mam żadnych wątpliwości – zaciągnął się głęboko. – Interesuje mnie bardziej, co zrobili z ojcem.

Doktor skierował wzrok na drugie ciało.

Starszy mężczyzna z brodą i włosami upakcanymi w błocie, leżał nieruchomo – bezsilnie i sztywno jak kłoda. Prawa ręka wyciągnięta była w stronę chłopaka, zaś lewa spoczywała wzdłuż pleców.

Kuliński kucnął, studiując każdy centymetr jego ciała.

Twarz mężczyzny zastygła w mimice nieopisanego niemego przerażenia. Szeroko otwarte oczy przypominały ślepią śniętej ryby. W rozwartych ustach, jakby przygotowanych do krzyku, wyrył się głęboki ślad tego, czego musiał doświadczyć tuż przed śmiercią.

Doktor nigdy wcześniej nie widział, by nieboszczyk emitował z siebie tak osobliwą zgrozę.

Kolejne ślady potwierdzały przypuszczenie, że na granicy agonii mężczyzna doświadczył jeszcze wielu makabrycznych cierpień. Pod długim do kostek skórzanym płaszczem, który przykrywał jasną koszulę, Kuliński ujrzał ogromną plamę krwi. Obejmowała niemal cały tors, a hemoglobina podziała już jak spoiwo i związała się z włóknami.

Gdy udało mu się odkleić koszulę od ciała, ujrzał ziejącą dziurę w brzuchu. Większy płat okolicy pępka został usunięty, odkrywając tym samym wnętrze mężczyzny.

W tym momencie doktor wykrzywił gorzko usta.

– Co o tym myślicie? – zapytał Oksymiljanowicz, patrząc na Kulińskiego zimnymi oczyma przesłoniętymi dymem papierosa.

– Ktoś znał się na rzeczy – skomentował. – Cięcia są niemal perfekcyjne jak u chirurga.

– Mógł to zrobić lekarz albo rzeźnik?

Doktor spojrzał na dziurę jeszcze raz.

– Stawiałbym raczej na lekarza. Rzeźnik także potrafi posługiwać się nożami, ale używa ich w innym celu. Tutaj cięcia są proste i bez zbędnych nierówności, jak przy operacji.

– Co to oznacza?

– To, że ktoś z morderców wykazał się starannością, spokojem i... szacunkiem.

– Szacunkiem? – na twarzy Oksymiljanowicza malowało się niedowierzanie.

Kapitan zaśwycił latarką przez ramię Kulińskiego, kierując światło na ranę brzucha.

– Nie ma tutaj ran kłutych czy niepotrzebnych cięć. Wszystko po to, by nie uszkodzić narządów wewnętrznych – oświadczył i zastanowił się chwilę. Jego umysł przypominał zmarszczoną taflę wody, pod którą nie widać było dna. W końcu zaczęły mu się pokazywać obrazy. – Myślę, że morderca usunął jakiś organ.

– Jeśli tak, to musimy wiedzieć jaki – stwierdził kapitan.

Kuliński przetaił dłonią czoło, pozbywając się pierwszych oznak zmęczenia.

– Do tego potrzebna jest sekcja zwłok w bardziej komfortowych warunkach.

– Proszę zrobić ją tu i teraz. – Ton głosu brzmiał rozkazująco, i to w taki sposób, jakby miał uświadomić Kulińskiemu, że kapitan nie zaakceptuje odmowy.

– Jest ciemno, poza tym nie mam potrzebnych narzędzi.

– Rękawiczki powinny wystarczyć.

Doktorowi zakręciło się w głowie.

Co innego było operować kogoś na stole w szpitalu, a co innego grzebać we wnętrznościach nieboszczyka po ciemku i w kłębach wszechobecnej gęstej mgły. Niegdyś uznano by to za profanację zwłok i skazano go na śmierć. Dzisiaj nie musiał się tym przejmować. Wydawało się, że z błogosławieństwem kapitana KBW mógłby zrobić wszystko, pod warunkiem że pomogłoby to w śledztwie.

Wziął głęboki oddech, po czym zanurzył dłoń w ranie. Poczuł miękki żołądek i pętle jelita. Wsunął dłoń dalej, lecz nie wyczuł czegoś, co naturalnie kryło się za żołądkiem.

– O Boże!

Na te słowa Oksymiljanowicz wystrzył zmysły.

– Temu człowiekowi wycięto wątrobę, kapitanie.

Rozdział 7

Krew

– Dość tego – zaoponował Kuliński. – Nic mi pan nie mówi, kapitanie, a ja nie przydam się dopóki, dopóty nie dowiem się wszystkiego.

– Musieliśmy ukryć niektóre rzeczy dla dobra śledztwa – wtrącił sierżant Wilk.

– Chwileczkę... – zareagował doktor i spojrzał na Oksymiljanowicza. – W końcu to wy poprosiliście mnie o pomoc.

Lodowaty wzrok kapitana stopniał w tym momencie.

– Powiedźcie, co według was się tu wydarzyło, a ja uzupełnię wasze przypuszczenia.

Kuliński spojrzał jeszcze raz na zwłoki, tym razem dłużej.

– Makabra. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego i przyznam się, że przechodzą mnie dreszcze na myśl, że istnieją na świecie tak nikczemne jednostki, które dopuściły się tej podłości, co prawda przemyślanej, lecz bez dwóch zdań perfidnej. Nagość chłopaka może symbolizować brak szacunku do ciała lub wszystkiego, co z nim związane. Do tego mamy poderżnięte gardło i spuszczenie krwi. W ten sposób nie traktuje się nawet zwierzęcia. – Kuliński wziął głębszy oddech i spojrzał na brodatego mężczyznę. – Mordercy wycięli ojcu wątrobę. Może z podłości, a może celowo. Nie wiem. Jednak okaleczenia wskazują na duże zainteresowanie krwią jak w jakimś okultystycznym rytuale – urwał na chwilę. – Mimo tego ojciec ostatkami sił przyczołgał się do syna i niewiele brakowało, żeby chwycił jego dłoń. I chociaż kibicowałyby mu same niebiosa, umiera, nigdy nie pocieszając syna.

Zapadła dłuższa chwila ciszy, której nikt nie śmiał zakłócać.

Kapitan Oksymiljanowicz zapalił kolejnego papierosa. Okrążył ciała niczym orzeł szykujący się do ataku.

– Niestety, doktorze – odparł, mrużąc podrażnione od dymu oczy. – To, co widzicie, zostało zaaranżowane.

– Nie rozumiem.

– Widzicie tu ojca i syna, to prawda. Ale taki obraz widzicie tylko dlatego, że ktoś z zamysłem ułożył ciała w taki właśnie sposób. Zresztą sami twierdziliście, że kończyny są nienaturalnie ułożone.

– Chce pan powiedzieć, że to, co widzę, zostało zainscenizowane?

– Chcę powiedzieć, że ciała specjalnie ułożono w ten sposób.

Kuliński aż wstał na równe nogi.

– Tylko po co?

– Mord rytualny, rzecz jasna. – Ton głosu kapitana wskazywał na to, iż już wcześniej skonkludował swoje wnioski. – Bandyci zabili ich bez żadnych skrępowań.

Mord rytualny? – powtórzył w duchu.

W jego umyśle pojawiła się wizja ciała zakrwawionego, małego dziecka, noszącego ślady brutalnych tortur, zamordowanego przez wyznawcę judaizmu dla zdobycia krwi. Takie rozumienie mordu rytualnego było zdumiewająco trwałe w racjonalnych umysłach Europejczyków. Kiedy ktoś wspomniał o mordzie rytualnym, od razu ukazywał się obraz Żydów, którzy pozbawiali życia chrześcijańskie dzieci według pewnego schematu, a ich krwi używali w obrzędach religijnych. I mimo świata, w którym latające maszyny przecinały niebo, opancerzone pojazdy niszczyły całe miasta, technologia zdominowała prawie każdą sferę życia, a naukowcy stali się prawdziwą elitą społeczeństwa, ludzie wciąż wierzyli w tę „czarną legendę”.

Jednak nie można było nie odnieść wrażenia, że Oksymiljanowicz nie mylił się w tej sprawie. Z szerszej perspektywy takie zbrodnie miały wspólny mianownik – arcyważna rola krwi. A w tym przypadku ślady na zwłokach potwierdzały hipotezę o mordzie

rytualnym. I wycięta wątroba. Dlaczego właśnie ona?

Kuliński miał już przyznać rację kapitanowi, lecz nagle uświadomił sobie co innego.

– Myślę, że pan się myli, kapitanie.

Na twarzy Oksymiljanowicza malowało się niedowierzanie. Najwyraźniej tygrys nie przywykł, ażeby jakikolwiek inny kot miał na tyle odwagi, by w jego obecności zachowywać się tak szelmowsko.

– Brak tu typowych ran dla takiego rytuału. Nie ma nacięć czy nakłuwania. Ciała nie leżą w beczce pełnej gwoździ ani nikt nie przebił ich serc.

– Więc po co z chłopaka spuszczano krew?

– Nie wiem, kapitanie. Podejrzewam, że ktoś chciał naśladować taki mord – powiedział z drżącym tonem, marząc, żeby opuścić to miejsce. – Bardzo nieumiejętnie.

Oksymiljanowicz milczał, zapalił kolejnego papierosa, a dym tytoniu szybko przedostał mu się do płuc.

– Czy możecie podejść do mężczyzny jeszcze raz? – zapytał kapitan.

Kuliński powędrował wzrokiem wzdłuż ciała brodatego ojca. Nie wiedział, jaki cel był w prośbie kapitana. Zaniepokojony, okrążył ciało z bliska, wdeptując butami w lepkie podłoże.

Spojrzał pod podeszwę swojego buta.

Wtedy zrozumiał, gdzie podziała się krew chłopaka.

Rozdział 8

„Katharsis”

Zmiana pory roku przyszła wyjątkowo wcześniej. Późne lato walczyło jeszcze o swoje przetrwanie, lecz nadchodząca jesień bez większych przeszkód zdobywała przewagę nad pogodą. I tak, było bardzo chłodno i deszczowo zarazem.

W tamtym dniu niebo było szare, lało jak z cebra. Daleko za horyzontem słychać było wybuchy i strzały.

Osiemnastoletnia dziewczyna przybyła pod chatę z nadzieją, że właścicielka bez żadnych przeszkód wpuści ją do środka. Tutaj miała odbyć się jej inicjacja.

Na próżno. Nie została wpuszczona do domu; co więcej, właścicielka kazała jej czekać na zewnątrz w chłodzie i deszczu. Ta nie zrezygnowała, nawet kiedy nastała noc. Sfatygowana i wykończona, kilka razy osunęła się na ziemię; lecz, pomimo trudu i znużenia, za chwilę wstawała i czekała dalej.

Na drugi dzień drzwi od chaty otworzyły się, a w drzwiach stała szeptucha, którą znano w okolicy jako Wszebora. Była stara i drobna. Miała krótkie, rozczapierzone włosy, które chyba nigdy nie widziały grzebienia. Jej oczy, dwa czarne punkty, spoczywały pod gniewnie zmarszczonymi brwiami.

Kobieta powoli podeszła do dziewczyny.

- Jesteś w ciąży?
- Nie, proszę pani.
- Przyszedł po napój miłosny, żeby zdobyć serce jakiegoś pięknisia?
- Nie – pokręciła głową.

– Tyfus? Dreszcze? Dyfteryt? Bóle miesięczkowe? – rzucała od niechcenia.

– Nie, proszę pani.

– To co tu robisz? – Wszebora rzekła zdenerwowanym tonem, jakby chciała powiedzieć, że jedynym i mile widzianym gościem była samotność.

– Babcia Sybilla wysłała mnie tutaj. Widzę to, czego nie ma – odpowiedziała dziewczyna cicho, przemoknięta i zmarznięta.

Starsza kobieta zbliżyła się do niej, chwyciła za jej rękę i przyłożyła do czoła.

– Mam na brzuchu bliznę. Powiedz, skąd się wzięła?

– Skąd mam to wiedzieć?

– Stąd! – Wszebora przycisnęła mocniej rękę do swojego czoła.

– Otwórz głowę. Zamknij oczy.

Dziewczyna zrobiła to, co jej kazano.

– Nic mi nie przychodzi na myśl – powiedziała po chwili.

– Nie myśl! Poczuj moje palce, poczuj mój kręgosłup, aż dojdiesz do rany. Zrób to albo zabieraj się stąd, dziewczko.

Nie mając wyjścia, dziewczyna zamknęła oczy raz jeszcze i pozbyła się wszystkich myśli. Często kiedy była w takim stanie, do głowy wpadały jej różne głosy i zaczynała widzieć rzeczy, które wydarzyły się w przeszłości lub które dopiero miały nadejść.

– Widzę w tobie wiele skrajności, dziewczko – rzekła Wszebora. – Jesteś opiekuńcza i masz dużo niespożytej energii. Potrafisz również kąsać jak skorpion. Pokąsaj trochę w mojej głowie.

Dziewczyna przycisnęła powieki mocno do siebie, jakby chciała rozgnieść nimi orzech. W ciemności umysłu ujrzała staruszkę, ale poniekąd będąc za jej oczami, w środku jej głowy. Nie potrafiła nigdy wytłumaczyć sobie tego uczucia. Często widziała właśnie z takiej perspektywy. Następnie poczuła jej kręgosłup i skórę. Minione lata i ból. I w końcu jakąś kobietę, jej pazury.

– Kobieta z pazurami – urwała. – Nie, to nie pazury. – Za zamkniętymi oczami widziała obrazy pojawiające się i znikające

zarazem. – Boli, jakby ktoś wbijał szpikulec. Nie, to nie szpikulec. To nóż.

Poczuła przeszywający ból w brzuchu i zajęczała, jakby kobieta z wizji zatopiła ostrze w jej własnej skórze. Skuliła się, a po chwili wyprostowała. Kobieta z wizji zniknęła.

– Ktoś chciał cię zabić – wyjąkała.

Wszebora puściła ją i oddaliła się w milczeniu.

– Mówisz prawdę – rzekła. – Możesz wejść.

Wnętrze chaty było surowe, trzy pokoje. Na ścianach wisiały ususzone rośliny, obrazy i inne bibeloty.

Dziewczyna wytłumaczyła, że przyszła do niej w celu inicjacji. Sybilla wysłała ją właśnie do niej. To Wszebora miała ukierunkować jej młode serce. Tutaj miała dowiedzieć się o sobie wszystkiego.

– Ha! – parsknęła śmiechem starucha. – Inicjacja to nie rzecz dla tchórzy. Nie dasz rady, jeśli masz słaby żołądek, dziewczko. Inicjacja to śmierć i zmartwychwstanie. To przejście ze starego do nowego życia. Po tym nie jesteś już tą samą osobą.

Podpaliwszy oko fajki, kobieta usiadła na bujanych krześle. Jej twarz zniknęła gdzieś w gęstwinie dymu tytoniowego.

– Czy jesteś do tego naprawdę gotowa?

– Jestem.

Wszebora kazała jej ogrzać się przy kominku i podała gorący wywar z ziół z chlebem.

– Jedz i pij do końca. Naciesz się każdym kęsem, bo to twój ostatni posiłek.

– A co potem?

– Potem obedrę cię ze skóry.

Inicjacja nie była dla tchórzy. Polegała na siedzeniu w jednym miejscu przez pięć dni, bez jedzenia i picia. Jedyłą wygodą była drewniana belka, na której dziewczyna mogła oprzeć plecy. Czas płynął mozolnie, a jej organizm zaczął szybko dopominać się o pożywienie. Po dwóch dniach jej żołądek zmienił się w ogromną pustkę, a po kolejnych dwóch czuła bolący każdy mięsień. Na koniec

staruszka pozwoliła jedynie na łyk ciepłej wody. Jednak to nie był koniec, lecz zaledwie początek.

Kiedy była przekonana, że nadszedł kres głodówki, staruszka nakazała kontynuować post przez kolejne dwa tygodnie, powtarzając ciągle, że w każdej chwili może zakończyć cierpienia, wyjść i więcej nie wracać. Dziewczyna była wykończona, jednakże w głębi serca wiedziała, że tylko tutaj może dowiedzieć się, kim jest.

Brak jedzenia i znużenie wpędziły ją w marazm, a towarzyszem stał się wyrity w belce skorpion. Najpierw wpatrywała się w niego z grozą, by w końcu zachwycić się nim jak tęczą po deszczu. Dwa szczypty i ogon z kolcem do obrony. Jego życie to ciągła walka. Nie są mu straszne ekstremalne warunki. To wojownik, który nigdy nie daje za wygraną i nie zwraca uwagi na panujące dookoła piekło. Ta myśl pomogła jej przetrwać czternaście niekończących się dni. Nagrodą był znów łyk ciepłej wody.

Ostatni etap był najgorszy. Kiedy myślała, że to koniec, Wszeborra kazała jej wytrzymać jeszcze dziesięć dni. W takiej sytuacji nawet najsilniejsi mężczyźni rezygnowali. Problem był w tym, że inicjacja nie opierała się na sile mięśni, lecz woli. Dziewczynę opuściły ostatki sił. Przez trzy dni nie podnosiła się wcale. Czwartego dnia dopadła ją choroba – wysoka gorączka, dreszcze. Poprosiła Wszeborę o lekarstwo, ale ta odmówiła, twierdząc, że nie jest to zwykła choroba i nie mogą wyleczyć jej medykamenty. Jej stan został wywołany przez duchy i tylko od niej zależało, czy zostanie uleczona.

– To twoje oczyszczenie – rzekła staruszka. – Twoje *katharsis*.

Nie zostało jej nic innego, jak leżeć na podłodze i wpatrywać się w wyrity w belce symbol stawonoga. Podczas choroby sen przynosił jej surrealistyczne obrazy. Widziała śmierci osób, których nigdy nie знаła. Płacz rodziców po swoich dzieciach, smutek młodych ludzi rozerwanych przez wojnę. Słyszała strzały, wybuchy, odgłosy silników – świat spowity dymem. Apokalipsa. Jednakże w jej pamięci żywo wyrzył się jeden sen. Zabrano ją i ułożono na stole. Następnie porąbano jej ciało na kawałki. Rozczłonkowane części wrzucono do

ognia. Byli tam jej rodzice i babcia. To oni je wrzucali. Podczas gdy jej kończyny zajął już ogień, babcia wyjmowała jej kości, aż do momentu, kiedy znalazła jedną dodatkową. Uniosła ją do góry w podzięcie, po czym podeszła do dziewczyny na stole i włożyła ją z powrotem na swoje miejsce.

Następnego dnia gorączka minęła i ustały dreszcze. Ostatkami sił dziewczyna wstała. Czuła się, jakby była tutaj pierwszy dzień. Wszystko było wyrazistsze. Poczuła wiele zapachów naraz i potrafiła je wszystkie wyróżnić. Czuła się lekka i zdrowa. Zupełnie inaczej niż poprzedniej nocy.

Starsza kobieta podała jej gorący wywar.

– Od tej pory twoje życie będzie paradoksem. Jesteś wolna bardziej niż ktokolwiek i możesz szybować daleko poza swoje ciało. Z drugiej strony jesteś w pułapce, ponieważ zobowiązujesz się służyć ludziom do ostatniego momentu swojego życia.

Dziewczyna wpatrywała się w symbol skorpiona wyryty w belce.

– Skorpion jest jak perła w muszli ostrygi, zrodzonej w katuszach z ziaren piasku – kontynuowała staruszka. – Bez cierpienia nie ma życia. Skorpion nie toleruje byle czego, nie traktuje nic po bieżnie. Jest bolesną transformacją. Słońce w znaku Skorpiona rządzi światem w środku jesieni. Życie wtedy umiera, a jednak można znaleźć jeszcze ostanie, broniące się liście na drzewach.

Kobieta wsypała tytoń do fajki i odpaliła ją.

– Bądź jak skorpion, Zosiu. Dzięki niemu przejrzyś na oczy.

Teraz, kilka lat później, siedząc w tym samym miejscu, Zosia wpatrywała się w tego samego skorpiona, który pomógł jej prze-trwać wycieńczającą inicjację.

„Podążaj za skorpionem”.

Podążyła. Zrozumiała te słowa i czym prędzej wyruszyła do Wszebory. Tylko ona mogła jej pomóc odkryć ukryte znaczenie przepowiedni babci.

Usłyszała nagłe uderzenie czymś ciężkim o drewniany stół, co

przestraszyło ją do tego stopnia, że prawie podskoczyła. W drugim pokoju Wszebora stała zgarbiona nad jakąś książką, przerzucając strony.

– To musi gdzieś tu być – mówiła do siebie pod nosem.

Zosia podeszła bliżej i zatrzymała wzrok na manuskrypcie zatytułowanym „Nauka Przebudzonego”. Dobrze wiedziała, że tytuł odnosił się do indyjskiego mędrca, żyjącego ponad dwa tysiące lat temu, który poświęcił życie na zrozumienie ludzkiego cierpienia. Szukając odpowiedzi, poddawał się ascetyzmowi, a potem medytacji, by w końcu doznać ośnienia, przebudzić się i stać się Buddą.

– Czego szukasz?

Wszebora przerzuciła kartkę i wspomagając się palcem wskazującym, szukała uparcie czegoś, co miało kryć się gdzieś wśród nauk buddyzmu.

– Mam! – wykrzyknęła, przyciskając palcem na środek tekstu.

Zosia skupiła uwagę na pojedynczym słowie.

–Arhat...

Rozdział 9

Fresk

Kuliński nie mógł oderwać oczu od mieszanki błota z krwią, otaczającej ciało brodatego mężczyzny.

– To na pewno nie jest mord rytualny – stwierdził z całą pewnością. – To się nie mieści w głowie.

Zabrane ubrania, poderżnięte gardło, spuszczone krew, wycięta wątroba i zaaranżowany układ ciał – Kuliński nie potrafił z tego nic wywnioskować. Chciał wracać do posiadłości wuja. Im dłużej tu przebywał, tym bardziej wyczuwał coraz gęstsza atmosferę tego miejsca z enigmatyczną mgłą i złowrogim otaczającym lasem.

– Na nic się chyba już nie przydam.

– Nieprawda, doktorze – odparł kapitan. – Zauważyliście kilka rzeczy, które przeoczyłem, i dzięki waszej pracy wiemy o usuniętym narzędzie. Wiemy także, że mordercy nie byli zwykłymi bandytami. Znali się na rzeczy i dołożyli wszelkich starań, by stworzyć to, na co patrzymy.

– Ale po co to wszystko? – zapytał Kuliński. – Po co ktoś miałby sobie zadać tyle trudu?

– Jeszcze nie jestem w stanie tego powiedzieć – Oksymiljanowicz przetarł ręką swój kilkudniowy zarost. – Miejsce zbrodni jest kluczowe dla rozwiązania zagadki, doktorze. To, w jaki sposób ciała zostały ułożone, świadczy o fantazjach morderców. Mieli dużo czasu i nie musieli się spieszyć. Chcieli coś przekazać, dlatego trzeba na tę zbrodnię spojrzeć jak na pewien obraz, który tyczy się jakoś ciała, wątroby i krwi. Więc polegam na waszym doświadczeniu medycznym.

Kuliński ponownie rzucił okiem na dwa ciała, przekonany, że musiałby zostać tutaj o wiele dłużej, by odnaleźć jakikolwiek sens.

– Dlaczego akurat wątroba? – indagował kapitan. – Dlaczego nie serce?

To było bardzo dobre pytanie.

Czemu nie przyszło mu to do głowy wcześniej? Był zszokowany makabrą zbrodni do takiego stopnia, że emocje przejęły nad nim kontrolę i w rezultacie zapomniał, jaką odgrywał tutaj rolę.

Poproszono cię o ekspertyzę, Henryku – powiedział do siebie w duchu. O medyczne podejście do sprawy. Nic poza tym.

Kuliński wyteżył umysł. Wziął kilka głębokich oddechów i zamknął oczy. Odrzucił wszystkie myśli i starał się przypomnieć wszystko, co dotyczyło się wątroby.

– Serce nie jest najważniejszym organem – stwierdził po dłuższej chwili zamyślenia.

– I to mówi lekarz? – Oksymiljanowicz był zaskoczony.

– Jest najważniejszym mięśniem, bez dwóch zdań. Jednak medycy na całym świecie sprzeczą się o kluczową rolę dwóch innych narządów. Klasycyści wierzą w potęgę wątroby, a racjoniści w mózg. Jeśli przyjmiemy, że mordercy usunęli wątrobę ze względu na jej znaczenie, to... – urwał, gdyż w tym momencie poczuł, jak pulsowanie w piersi narasta niczym odgłos zbliżających się kroków olbrzyma.

Ciało, krew, wątroba, obraz.

Wszystkie rozsypane i z pozoru niemające nic wspólnego ze sobą części zaczęły układać się w jedną całość niczym puzzle.

– Doktorze? – zapytał Oksymiljanowicz, ale Kuliński jakby go nie słyszał.

Ciało... Krew... Wątroba... Obraz...

Nagle zrozumiał, na co patrzył od dłuższego czasu. Wszystko zaczęło się łączyć w jedną całość. Kapitan Oksymiljanowicz miał rację. Miejsce zbrodni wiele mówiło o mordercy. W tym przypadku mówiło wszystko.

– Kapitanie, tu nie chodziło o ciało i krew – oznajmił pewnym tonem. – To, na co patrzymy, to faktycznie obraz.

Oksymiljanowicz zastygł w bezruchu, a jego brwi wygięły się w niedowierzaniu.

– Mówcie dalej...

– Spójrzmy na chłopaka. Jest nagi, ale w tym przypadku nie chodzi o symboliczne pozbawienie dumy. To coś więcej. Proszę spojrzeć na ojca. Wyciąga rękę w kierunku syna, żeby móc po raz ostatni chwycić jego dłoń. Mordercy narzucili nam taki sposób patrzenia, a ja wpadłem w to jak śliwka w kompot. Jednak, tak jak pan stwierdził, ciała zostały ułożone intencjonalnie, co z pozoru miało utrudnić rozszyfrowanie wiadomości. Chyba że...

– Co macie na myśli?

Kuliński podniósł patyk i zaczął rysować linię wokół ciała brodatego mężczyzny, zaznaczając granicę, gdzie rozlana była krew. Gdy skończył, granica ta nabrała kształtu czegoś podobnego do płaszcza.

– Co to jest? – zapytał kapitan szybko, tracąc powoli cierpliwość do zgadywanek.

– To fresk Michała Anioła, kapitanie, znany jako „Stworzenie Adama”. – Oksymiljanowicz i Wilk rzucili spojrzeniami na zwłoki.

– Chcecie powiedzieć, że ktoś zabawił się w malarza?

– Chcę powiedzieć, że ktoś odwzorował jedno z najsłynniejszych dzieł w naturalnych wymiarach.

Kuliński był pewien swego. „Stworzenie Adama”, które znajdowało się w Kaplicy Sykstyńskiej w Watykanie, przedstawiało nagiego Adama na zielonej trawie, wyciągającego rękę w kierunku Boga, który przywoływał pierwszego człowieka do życia. Jednak renesansowe dzieło wzbudzało wiele kontrowersji nie tylko w świecie sztuki, lecz także w świecie medycyny. To za sprawą purpurowego płaszcza, na którym spoczywał Bóg, a raczej jego kształtu. Niektórzy badacze twierdzili, że przedstawiał mózg, z zielonym szalem symbolizującym rdzeń kręgowy. Byli także tacy, którzy upatrywali się kształtu wątroby lub nawet macicy.

Kuliński wskazał patykiem na obrysowany płaszcz.

– Jaki kształt tutaj widzicie?

– Ciężko powiedzieć – odparł kapitan. – Ale przypomina to właśnie wątrobę.

– Purpurowa szata Jahwe – dokończył Kuliński. – Ojciec ma brodę i ubrany jest w jasne odzienie. Tak samo jak Bóg na fresku. Co do chłopaka, to dziwne z początku ułożenie rąk odwzorowuje Adama. No i obaj wyciągają do siebie ręce.

– Jestem pod wrażeniem, doktorze. Teraz wydaje się to takie proste i było widoczne od samego początku.

– To, co widoczne, jest często niezauważalne. Medycyna i sztuka na szczęście ma wspólny mianownik. Tajemniczość.

– Ale dlaczego akurat wątroba?

Kuliński gwałtownie wypuścił powietrze z ust.

– To długa historia, która zaczęła się w pradawnych czasach. W kulturach Babilończyków, Etrusków, Greków i Rzymian to właśnie wątroba była siedliskiem duszy. Nie mózg czy serce. To w wątrobie miały się mieścić boskie właściwości. Pod przeponą, po prawej stronie jamy brzusznej i osłoniętej dodatkowo łukiem żebrowym, odzwierciedlała myśli człowieka. A ponadto używano ją do wróżb.

– Ale to zabobony – powiedział Oksymiljanowicz.

– Nie dla starożytnych. Kiedy wyciągnie się ją ze świeżo zabitego zwierzęcia, błyszczący do takiego stopnia, że potrafi odbić promienie światła, a jednocześnie prędko matowieje. Jeśli umie się ją czytać, to jakby mieć dostęp do boskiego warsztatu pracy. W wątrobie wróżbici przewidzieli zamach na Juliusza Cezara czy śmierć Aleksandra Wielkiego. Ale to zapomniana historia, którą traktuje się raczej jako ciekawostkę. – Spojrzał ponownie na zwłoki. – Aż do teraz.

– Zatem mordercy symbolicznie usunęli duszę temu człowiekowi.

– Tak – potwierdził Kuliński. – I to nie byli zwykli bandyci. Mamy do czynienia z kimś inteligentnym z dużą wiedzą akademicką. Na podstawie tego, jak potraktowano ciała, wnioskuję, że mężczyzna znał swoich oprawców. Przy takiej organizacji można raczej

wykluczyć przypadkowe morderstwo.

– Potwierdzam – odparł Oksymiljanowicz. – Wiedział, że czeka go rychły koniec. – Przekręcił głowę i spojrzał na sierżanta Wilka. – To dlatego użył kodu Morse’a.

– Jak to użył kodu?

Oczy Oksymiljanowicza ponownie zawisły na doktorze.

– A myślicie, że jak ich znaleźliśmy?

– Stawiałem na to, że przeczesywaliście te lasy w poszukiwaniu bandytów i natrafiłście tu przypadkiem.

– Nic z tych rzeczy – odparł kapitan, wskazując palcem na zwłoki. – To oni nas wezwali. Kilka godzin wcześniej otrzymaliśmy dziwną wiadomość z dokładną lokalizacją tego miejsca i treścią: „Dwie osoby nie żyją. Przyjeżdżajcie jak najszybciej. Szukajcie pomocy u Henryka Kulińskiego”.

Kilkadziesiąt metrów dalej, na skraju lasu we mgle, jeden z zabezpieczających miejsce żołnierzy stał w milczeniu, popalając papierosa. Powiedziano mu, że bandyci, którzy zamordowali dwie osoby, mogą wciąż znajdować się w okolicy.

Zadanie było proste – nikogo nie wpuszczać na miejsce zbrodni.

Gdy usłyszał jakiś szelest pomiędzy drzewami, dobył broń i wytężył zmysły. Podeszedł powoli do drzewa i wystrzył wzrok. Na próżno.

Nagle, zza pleców, zmaterializowała się ręka, która owinęła się wokół jego szyi tak ciasno, że nie mógł złapać oddechu.

Żołnierz samoczynnie zrobił grymas twarzy, gwałtownie wypuszczając powietrze.

Szamotał się. Walczył o życie i musiał wyrwać się ze śmiertelnego uścisku.

Nie złapał jednak oddechu.

Świat pociemniał przed oczyma, a on sam osunął się bezwładnie na ziemię.

Zasadzka

Kuliński nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. W jego głowie wciąż brzmiały słowa wiadomości, którą kapitan KBW odebrał od zamordowanego.

„Szukajcie pomocy u Henryka Kulińskiego”.

Co to do licha miało znaczyć?

– Znacie tego człowieka? – zapytał Oksymiljanowicz.

– Skąd? Widzę go po raz pierwszy.

– Najwyraźniej on was znał.

– Kapitanie – Kuliński próbował zebrać myśli. – Przyjechałem tu na pogrzeb mojego wuja, który przez ostatnie sześć lat zabraniał mi wracać do kraju. Nie mam zielonego pojęcia, skąd ten mężczyzna znał moje imię i nazwisko.

– Czy wasz wuj mógł go znać?

– Jestem przekonany, że moja rodzina nie ma żadnego powiązania z tymi ludźmi.

– Czyżby?

Ta uwaga pozbawiła Kulińskiego pewności siebie.

– Ten martwy mężczyzna nazywa się Artur Szendzielarz – wyartykułował kapitan. – Nie brzmi znajomo, doktorze?

Kulińskiego zmroziło do takiego stopnia, że nie był w stanie poruszyć żadną kończyną. Miał szeroko otwarte oczy, a panika mimowolnie wychodziła przez opadłą szczękę.

Przypomniął sobie list, który znalazł wsunięty przez drzwi.

– Rozumiem, że nazwisko nie jest wam obce – stwierdził Oksymiljanowicz, odczytując najwyraźniej wszystkie emocje z oblicza doktora.

Kuliński miał pustkę w głowie.

O co tu chodzi?

– Nie znam go – wymamrotał.

Kapitana to jednak nie przekonało.

– Otrzymałem od niego dzisiaj list. Chciał się ze mną spotkać.

I tyle.

– Dzisiaj, mówicie? A macie go ze sobą?

Kuliński poczuł intuicyjnie, że ujawnienie treści listu mogłoby tylko pogorszyć sprawę.

– Zostawiłem go w gabinecie.

– A co się w nim znajdowało?

– Prośba o spotkanie. Miał mi coś przekazać od wuja, więc postanowiłem poczekać na niego, a zamiast tego w drzwiach zjawił się pański sierżant.

– Nie pieprzcie mi tu głupot, doktorze. Bez żadnych podejrzeń chcieliście się spotkać z kimś, kogo nigdy wcześniej nie znaliście. Czy macie mnie za głupka?

Atmosfera zgęstniała.

Kapitan Oksymiljanowicz najwyraźniej nabrał podejrzeń w jego stronę.

– Mówcie mi tu jak na spowiedzi – ciągnął dalej. – Szendzielarz miał się z wami spotkać, żeby przekazać wam jakąś tajemnicę. Czy tak?

– Nie mam żadnej tajemnicy.

– Każdy ją ma, doktorze. I wy, i wasz wuj, który utrzymywał kontakty z Szendzielarzem.

– Jakie kontakty?

Oksymiljanowicz sięgnął do wnętrza munduru po pognieciony list. Wyjął kartkę i zaczął czytać na głos:

„Drogi Arturze. Jeśli czytasz ten list, to znaczy, że padłem ich ofiarą. Lecz pozostał jeszcze mój bratanek Henryk. Zajmie moje miejsce i to jemu powierzysz naszą tajemnicę. Skontaktuj się z nim jak najszybciej. – Oksymiljanowicz powędrował oczami na dolny

róg listu. – P.S. Nasz wróg nie odszedł z końcem wojny. Tak bardzo się myliliśmy. Podpisano: AAHP, Ryszard Kuliński”. – Skończył czytać i podał mu list.

Kuliński przeczytał treść jeszcze raz. Z każdym nowym zdaniem gejzer gorąca buchał wewnątrz jego ciała. Na czole zaczął perlić się pot, a oddech stał się płytszy.

To jakieś szaleństwo!

Jednak nie było nim do końca. AAHP. Wiedział, co to oznacza. Gdy uświadomił sobie jeszcze jedną rzecz, poczuł, jak całym sobą spada w mroczną dziurę, wiedząc, że wnet rozbije się o podłoże i zginie.

– Zatem wszystko zaplanowaliście, kapitanie. Mój przyjazd tutaj nie był przypadkowy. Nie chodziło o ekspertyzę lekarską, tylko o przywiezienie podejrzanego.

– Doktorze Kuliński – Oksymiljanowicz mówił spokojnie. – Jesteście ostatnią osobą, która miała kontakt z zamordowanym. Ale jednocześnie twierdzicie, że nic wam nie mówi nazwisko Szendzielarz. Pomimo tego, że wasz wuj z nim korespondował. Mój policyjny nos mówi, że coś przede mną ukrywacie – wyjął kajdanki. – Ponadto Ryszard Kuliński sam przyznał się do współpracy z bandytami w liście, twierdząc, że wróg nie odszedł z końcem wojny. Każdy głupi wie, że chodziło mu o komunistów.

– Kapitanie, przysięgam na Boga, że nie mam pojęcia, co się tutaj dzieje...

– Nie ma miejsca na Boga w naszym kraju. Nastaly nowe czasy, doktorze. Czasy, w których każdy jest sobie równy i pracuje na wspólne dobro, a nie dla niewidzialnego bóstwa.

Oksymiljanowicz podał kajdanki sierżantowi, który podszedł z nimi do doktora.

– Jako podejrzany o działalność kontrrewolucyjną przeciwko Rzeczypospolitej Polskiej – rzekł Wilk – zostajecie aresztowani i będziecie postawieni przed sąd.

Kuliński usłyszał zgrzytnięcie zamka zimnych kajdanek, które

zaciskały mu się dookoła nadgarstków.

– To pomyłka. Jestem niewinny!

W tym momencie bezkresną ciszę przerwał dźwięk.

Przerażający gardłowy okrzyk napełnił echem cały las. Pocho-
dził gdzieś z jego głębi. Brzmiał złowrogo i przyprawił o ciarki nawet
Oksymiljanowicza.

Usłyszeli ujadanie psów, co poprzedziło dźwięk salw karabinów
maszynowych, z nieregularnymi odgłosami krzyków.

Kakofoniczny koszmar przybrał na sile. Jęki, ryki, płacz i odgłosy
walki rozbrzmiały wokół polany, schowane za wszechobecną mgłą.

Nagle z oparów mgły wynurzyła się czarna postać i zaatakowała
kapitana. Oksymiljanowicz zdążył dobyć pistolet i wystrzelić pocisk
w jej stronę, po czym upuścił broń i wydał z siebie jęk bólu. Czarna
sylwetka trzymała go za gardło mocnym stalowym uściskiem, by ci-
snąć nim w narożnik chaty. Słysząc było, jak coś łupnęło mu w gło-
wie. Kapitan zsunął się na ziemię, pozostawiając ślady krwi.

Napastnik ruszył w stronę sierżanta.

Wilk posłał przed siebie salwę z karabinu maszynowego. Napast-
nik zaczął odskakiwać na lewo i prawo, unikając większości poci-
sków, po czym z szybkością geparda zbliżył się do sierżanta. Wyrwał
mu karabin z dłoni i rąbnął go potężnym ciosem w twarz.

Wilk padł na ziemię. Resztkami sił odbezpieczył zawleczkę i rzu-
cił granatem.

– To za kapitana!

Wybuch odrzucił Kulińskiego. Przeszywający dźwięk ogłuszył
go na chwilę. Leżał kilka metrów dalej. Podniósł się na łokciach
i rozejrzał dookoła. Napastnik, Wilk, drewniana chata – wszystko
zniknęło za płaszczem mgły. Jego serce waliło jak młotem. Wstał, by
oddalić się stąd jak najszybciej. Uciec.

Nie miał zamiaru zastanawiać się, kim był napastnik, co łączyło
wuja z trupem mężczyzny. Zaczął biec przed siebie, lecz po chwili
uderzył o jakąś przeszkodę. Cofnął się kilka kroków i spojrzał przed
siebie.

W oparach mgły stał ten sam napastnik. Teraz widział go dokładnie. Marmurowa twarz z łysą głową i pustymi w środku oczyma przypominającymi ślepiea zdechłej ryby. Był wysoki, o budowie gladiatora, i ubrany w czarny jak noc skórzany płaszcz, sięgający za kolana. Kroczył w jego stronę, ociekając śliną niczym lew chcący pożreć swoją zdobycz. Zamierzał uśmiercić go gołymi rękami, podobnie jak zrobił to z Oksymiljanowiczem.

Wszystkie fibry ciała Kulińskiego sparaliżował strach. Zastygł w tej samej postawie niczym posąg, gdy białe ręce uniosły się do uderzenia.

Nagle coś świsnęło mu obok ucha i wbiło się w gardło napastnika. Metalowy przedmiot w kształcie gwiazdy. Drugi identyczny przedmiot trafił w ramię i w końcu w sam środek czoła.

Zabójca zachwiał się i runął na ziemię.

Jakiś kształt dobiegł z tyłu do Kulińskiego.

– Za mną – polecił głos, a silne dłonie pomogły mu wstać.

Doktor ujrzał sylwetkę dobrze zbudowanego, wysokiego żołnierza w mundurze KBW. Twarz była zakryta szalem od podbródka do nosa. Można było jedynie zobaczyć jego łobuzerskie, niebieskie oczy.

Gdy lekarz stanął na równych nogach, poczuł się jak po elektrowstrząsach.

– Pospiesz się, doktorze – polecił żołnierz.

Kuliński ruszył za nim.

– Co się tutaj dzieje?

– Musimy iść. Oni zaraz tu będą.

– Jacy oni?

– Odpowiedzi później. Tędy – poinstruował. – I przyspiesz, doktorze.

Pobiegli w stronę lasu. Gęstą mgłą przecinało *staccato* serii pistoletów maszynowych pomieszanych z przeraźliwymi krzykami.

Nieznajomy zwinnie przemykał między drzewami, jakby znał dobrze ten teren.

Doktor próbował dotrzymywać mu kroku, ale ten w pewnej chwili zniknął mu z pola widzenia, zostawiając go samego w gęstwinie iglastych drzew. Chciał go przywołać, ale wiedział, że nie może. Nie mógł zdradzić swojej pozycji i z całą pewnością nie miał zamiaru ponownie spotkać zabójców w czarnych płaszczach.

Przystanął na chwilę, by złapać oddech. Próbował zorientować się, który kierunek mógł wybrać jego oswobodziciel. Miał w głowie kompletną pustkę, więc zaufał instynktowi i ruszył przed siebie.

Nagle dwie silne ręce wynurzyły się z mgły i niczym macki wciągnęły go w mrok przewróconego drzewa.

Chciał się wyrwać, walczyć o życie, lecz zobaczył twarz nieznanego żołnierza i palec na jego ustach, nakazujący bezwzględną ciszę.

– Spójrz tam – wyszeptał, wskazując palcem na coś w szarej od dali. – To czarne płaszcze.

Kuliński ujrzał niewyraźny kształt czarnej sylwetki, przecinającej pomrokę mgły. Kolejny napastnik. Jego śnieżnobiałe oblicze wyróżniało się znacznie od posępnego otoczenia. Poruszał się wolno i cicho, jak myśliwy polujący na zwierzynę. Chwilę później zniknął gdzieś w oparach mgły.

– Czy ma pan przy sobie broń?

Broń? Pomyślał Kuliński. Nie mam nawet złamanego grosza przy duszy. Potrząsnął przecząco głową. Jediną rzeczą, jaką miał, była jego torba lekarska, która przepadła gdzieś w tym zamęcie.

Nieznajomy wyciągnął pistolet.

– Czy umie pan strzelać? – zapytał.

Kuliński przytaknął.

– *Si vis pacem, para bellum* – jeśli chcesz pokoju, szykuj się do wojny – rzucił nieznajomy, wręczając mu broń.

Był to znacznych rozmiarów rewolwer z sześciopięciopalcowym obracającym bębenkiem.

– Chyba powinniśmy zamienić kilka słów... – zaproponował Kuliński.

- Jeszcze nie jesteśmy bezpieczni – uciął półszeptem.
- Co dalej? Przeczekamy tu, aż odejdą?
- Wręcz przeciwnie – nieznajomy zdjął szal, odkrywając wygięte w uśmiechu usta. – Wyminiemy ich nad głowami.

Spis treści

Prolog	6
List	7
Wszebora	11
Kapitan Oksymiljanowicz	14
Miejsce zbrodni	18
Przepowiednia	21
Badanie	23
Krew	27
„Katharsis”	30
Fresk	36
Zasadzka	41
„Arhat”	48
„Strzeż się Arhata, gdyż wraz z nim umrzesz”	48
Wiciądz	51
Ucieczka	56
Czarne płaszcze	61
Montgolfiera	64
Pościg	70
Posiadłość	76
Na straży równowagi	80
Klucz	84
GZI	90
Pięciu	92
Starcie	95
Stary wróg	99
Mały	104
Gruzowisko	108
Przysięga	111
Cichociemni	118
Ciotka	121
Alojzy	128

Vril	132
Wizja	136
Krasnow	142
Więzienie	145
Apokalipsa	149
Genesis	155
„Mózg”	157
Kruki	161
Archiwum	167
Roztwór	171
Ruiny	175
Podziemia	182
Opactwo	187
Ukryte w gruzach	193
Powiernicy przysięgi	199
Remigiusz Wessel	202
Przysięga Pięciu	207
Bruchejon	212
Zdrada	219
Kameleon	224
Biały szum	231
Pretorianie	234
Walczymy razem, umieramy razem	242
Resurrectio mortuorum	248
Rytuał	254
Kawaleria	261
Hades	264
Wróg mojego wroga...	267
Hipnoza	272
Quid pro quo	276
Pajęczycza	283
Śrem	290

Negocjacje	295
Niespodziewana wizyta	300
Geila Engel	307
Ahnenerbe	312
Doktor	317
Ekspedycje	321
Wudu	327
Raskolnikow	332
Atlantydzi	337
Wyrocznia	342
Ukoronowanie	349
Kawaleria	355
Bitwa	360
Na zachód	365
Pożegnanie	369
R.W.P.	374
Epilog	377